



Krzysztof Ptański
„Ptaku”

KAJAKO WY CROSS



Szwecja

Wychodząc dwa lata temu po Archipelagu Sztokholmskim, w liczonym gronie przyjaciół kajakarzy, zaprzyjaźniłem się z gościem z miasta Sopot, niejakim Markiem Czaczka „Czaczkinem”. Wspólnie gotowaliśmy dobre rzeczy, wspólnie

murzyni wrzucają węgiel do kotła. Ale nie ma co narzekać, mamy gdzie spać i odpocząć. Pierwszy dzień wyprawy za nami. Rankiem następnego dnia, po śniadaniu, stoimy na pokładzie promu i patrzymy na wylaniające się

wiele drogi. Na szczęście morze jest łaskawe. Płyniemy około 8–9 km/godz., sił ubywa, ale refleks został. Kątem oka dostrzegam jakiś przedmiot dryfujący w wodzie tuż obok burty. Łapa do wody i cap – trzymam puszkę duńskiego piwa

Finlandia

ćwiczyliśmy na morzu dziwne ewolucje oraz techniki ratownicze, wreszcie wspólnie snuliśmy różne plany. Jednym z naszych ulubionych zajęć było oglądanie map i podróże wirtualne – palcem po gładkiej powierzchni papieru, na którym jawiły się rzeki, morza i lądy. Podczas jednego z takich „posiedzeń” powstał plan, który postanowiliśmy zrealizować. A był to plan nie byle jaki – przepłynąć ze Szwecji do Finlandii. Kajakami, oczywiście. Mieliśmy rok na przygotowania do tego śmiałego – w naszym przekonaniu – przedsięwzięcia. Wreszcie nadszedł czas, 20 lipca 2007 r. weszliśmy na prom, ciągnąc za sobą na wózkach kajaki z całym wyprawowym dobytkiem. Jak wielki był to bagaż wagowo-objętościowy, nie będę opowiadał. Gwoli wyjaśnienia – Marek pływa na nowozelandzkim kajaku morskim Eco Bezhig (5,60 m długości). Mój kajak to niemiecki Prijon Kodiak (5,20 m długości). Obie jednostki zbudowane są z polietylenu i wyposażone w stery. Ustawiamy nasze kajaki na promie, na pokładzie dla samochodów, i idziemy zaokrętować się w kajucie. Tradycyjnie, miejsca mamy na najniższym pokładzie, gdzie jak mawia Marek –

z morza skały i wyspy. Wiemy, że port docelowy jest blisko. Wreszcie dobijamy do Nynashamn (poniżej Sztokholmu). Wyprowadzamy kajaki z dolnego pokładu promu i przechodzimy przez odprawę celno-paszportową. Na parkingu czeka na nas w swoim białym busie Janusz „Prymit” Witkowski. Dobrze jest mieć w świecie przyjaciół. Krótkie, ale jakże serdeczne powitanie i już pakujemy nasze łódki i cały dobytek do Januszowego busa. Jedziemy na północ, mijamy Sztokholm i zatrzymujemy się w małej miejscowości Ravsnas. Odżywają wspomnienia, przecież to tutaj w ubiegłym roku zakończyliśmy wyprawę na Archipelag Sztokholmski. Ale nie czas na sentymenty. Klarujemy nasze kajaki, wiadomo na wierzchu, pod siatkami, sprzęt nawigacyjny oraz ratunkowo-sygnalizacyjny. Do luków bagażowych pakujemy jedzenie (na dwa tygodnie), ubrania oraz sprzęt biwakowy. „Prymit” nie wierzy, że wszystko zmieścimy. Wreszcie mamy to za sobą – niemożliwe stało się możliwe – i możemy wypływać. Żegnamy naszego przyjaciela i ruszamy na północ w stronę Zatoki Botnickiej. Jest późno, a przed nami

– mamy z Markiem niewyobrażalną radochę. Podążamy bardzo długim kanałem. Czuję się trochę jak na Kanale Augustowskim, tylko tutaj ruch dużo większy. Bez przerwy w jedną i w drugą stronę płyną motorówki. Zbliża się zmierzch i pora szukania miejsca na biwak. Znajdujemy bardzo ładną łączkę, na którą wyrzucamy nasze rzeczy. Po chwili rozumiemy – nie dla psa kielbasa. Z pobliskich zarośli wychodzi stado dorodnych byczków – to ich łąka. Marek dzielnie macha wiosłem i odpędza uparte bydelko, lecz to nic nie daje. Zwierzęta spokojnie, lecz krok po kroku, spychają nas w kierunku wody. Biegiem pakujemy kajaki i już nas nie ma. Dzielne stado patrzy na nas z brzegu z dzikim triumfem w oczach. Podążamy dalej, jakieś 2–3 km, i zatrzymujemy się w szuwarach nad małą urokliwą zatoczką. Nareszcie możemy odpocząć. Następnego dnia budzi nas deszcz uderzający w tropik namiotu. Nie jest to zachęta do wstawania, ale nie ma rady. Śniadanie, pakowanie i w drogę. W najbliższej miejscowości wyrzucam worek ze śmieciami (tak, tak, śmieci zabieramy ze sobą i wozimy aż do skutku, tzn. aż

Szwecja

znajdziemy śmietnik). Docieramy do ogromnego mostu, za którym robimy postój. Pogoda nas nie rozpieszcza, jest zimno i wiatr wieje w twarz. Jeszcze kawałek drogi i żegnamy się z cywilizacją. Kanał, którym płynęliśmy, rozszerza się i wypływa na otwarte morze. Wysoka fala, padający deszcz i niemilosierne zimno dają się we znaki. Postanawiamy zatrzymać się na biwak. Wybieramy wyspę z dosyć dobrym wyjściem, a właściwie wjazdem kajakami na płaski, ogromny gład. Jesteśmy zmarznięci i przemoczeni. Rozbijamy namiot na wielkim kamieniu, linki mocujemy za pomocą haków alpinistycznych i chowamy się do środka. Po posiłku ruszamy na zwiedzanie wyspy. Przechodzimy na jej północną stronę i dostrzegamy mającą w oddali latarnię morską – cel naszej jutrzejszej podróży. Wracamy do namiotu. Zapada zmrok, lecz deszcz

trochę, w sumie tragedii nie ma. Wreszcie ruszamy, początkowo osłonięci od pełnego morza wyspą, aż wychodzimy na otwartą przestrzeń. Wiatr czołowo-boczny, północno-wschodni. Rozpoczyna się ciężka walka z żywiołem, buja nami coraz bardziej. Oprócz fali regularnej – morskiej, dostajemy fale krótkie „poszarpane” od wiatru. Mam wrażenie, że stoję w miejscu, i nie myślę się. GPS pokazuje prędkość 2,3 km/godz. Jest ciężko. Płyniemy w stronę latarni morskiej Svartklubben, skąd zamierzamy ruszyć na Alandy. Traktujemy to miejsce jak ostatni przyczółek na szwedzkiej ziemi. Wiatr się wzmaga, fale również, na moje oko 4–4,5 stopnia. Utrzymujemy się blisko siebie, uważając, żeby morze nas nie rozrzuciło. Wzajemna asekuracja jest dla nas podstawową zasadą bezpieczeństwa. Duży stres powoduje, że mijamy „zaplanowaną” latarnię, biorąc ją za namiernik

foka! Przygląda się nam uważnie i znika pod wodą. Foka foką, a ja czuję, że nie jest dobrze. Wszystko podjeżdża mi do gardła. Rozpoznaję pierwsze symptomy choroby morskiej. Znam to z wypraw na Bornholm i do Karlskrony. Walczę sam ze sobą i widzę, że najgorzej jest, jak razem z kajakiem lecę w dół – pomiędzy fale. Napinam wówczas mięśnie brzucha i biorę wdech. Odnoszę wrażenie, że pomaga. Sztorując, docieramy do wyspy. Stoją na niej najprawdziwsze domy, radar oraz dwie latarnie morskie – jedna bardzo stara z 1911 r., a druga bardzo współczesna i cały czas mrugająca swoim uporządkowanym światłem. Niby mamy wszystko na wyciągnięcie ręki, ale jak się tam dostać. Urwiska skalne i kamienie, o które rozbijają się wielkie fale, nie zachęcają do lądowania. Wreszcie dostrzegamy mały, betonowy pomost. Czekamy na odpowiedni moment i ruszamy.

a radar macha do nas swoim ramieniem. Po chwili Marek znajduje małą chatkę – bardzo zaniedbaną i rozpadającą się – lecz otwartą. Jest to niewątpliwie domek jakiegoś rybaka – bardzo śmierdzi rybami, ale jest sucho i wiatr nie wieje. Tutaj zakładamy bazę, przynosimy rzeczy z kajaków i zaczynamy robić posiłek. Myśl przychodzi do nas taka sama i równocześnie – nie mamy wody! Mój towarzysz rusza na poszukiwania i pod starą, zardzewiałą pompą znajduje ujęcie życiodajnego płynu. Po prostu mamy szczęście. Woda jest trochę mało klarowna i ma żółtawy kolor, lecz po przegotowaniu jest OK. Jemy kolację, pijemy po dwie herbaty, tak na zapas, i robimy plan na dzień następny. Zamierzamy wypłynąć o godz. 4.00. dzwoniśmy jeszcze do Pawła „Ziomala” Kosmali, który podaje nam prognozę pogody dla tego

trwa to długo. O 4.00 wychodzimy z Markiem i już wiemy – nici z naszych planów. Wieje okrutnie z północy, morze rozbulane jak weselni goście, jednym słowem – brak szans. Nie jesteśmy samobójcami, dzisiaj nie będziemy próbować. Znowu idziemy do śpiworów i luku. Budzi mnie telefon, który przypomina mi, że to moje imieniny. Ludzie dzwonią z życzeniami i pytają, gdzie jestem. Nie wszyscy wierzą, że na środku morza, pod latarnią morską – no cóż, to ich sprawa. Nadchodzi wieczór, a wraz z nim informacja od „Ziomala” o pogodzie. To, co słyszemy, kompletnie nas załamuje, prognozowana siła wiatru 10–12 m/s, w porywach 16 m/s. W takich warunkach należy siedzieć w domu, a nie pływać kajakami, w dodatku po morzu. Bez słowa idziemy spać. Sen nie trwa długo – jest „czwarta nad ranem” (jak w piosence), wstaję i wychodzę przed domek. Niebo zasnutę fioletowoczarnymi chmurami i wiatr wyjący jak potępieniec. Ponownie kładę się spać – kompletnie zrezygnowany. Budzi mnie niepokojąca cisza. Wyglądam przez okno i nie wierzę oczom. Jest piękny, słoneczny i bezwietrzny poranek, a morze gładkie jak przysłowiowy stół. Budzę Marka. Biegiem pakujemy rzeczy i robimy śniadanie. Jednakże wątpliwości zostają. Co będzie, jak morze „wstanie”? Przecież prognoza pogody była fatalna. Ustalamy, że

raz kozie śmierć i ruszamy! Jesteśmy bardzo skoncentrowani i skupieni; płyniemy bez słowa – kurs 120°, czyli południowy wschód. Bezmiar wody mnie poraża, zaczynają rodzić się wątpliwości. A jeżeli popełniłmy błąd w nawigacji? Nie chce mi się nawet o tym myśleć. Wiosną, utrzymując stałe tempo, a nie płyniemy wolno, bo 8 km/godz. Pozwala nam na to łaskawość morza, które dzisiaj jest wyjątkowo łagodne i spokojne. Przed nami

przechodzi wielki statek – Astoria. Płynie w stronę Zatoki Botnickiej i chyba nas nie zauważył – niezły kolos. Wreszcie daleko przed sobą dostrzegam małe obłoczki, takie, co to tylko znad lądu wychodzą. Chwilę później dostrzegam ledwie majaczący łód – a może to tylko złudzenie? Jeszcze trochę kajakarskiego trudu i mam pewność. Widzę Alandy! Kurs, którym płynęliśmy, był idealny. Przed nami wyspa Signiskar. Zaczynamy śpiewać i rozmawiać. Marek

co chwilę drze się jak ranny pterodaktyl i w ogóle jest pięknie. Mijają kolejne godziny ciężkiej orki i wreszcie docieramy do stałego lądu. Wychodzimy z kajaków niezmiernie szczęśliwi, udało się, przepłynęliśmy otwartym morzem ok. 40 km i znaleźliśmy się na Wyspach Alandzkich. To jest początek Finlandii, przynajmniej dla nas. ■

Autor jest członkiem grupy „KIM”
www.comartin.pl/kazikimy
Zdjęcia Marek Czaczka

”Czuję się trochę jak na Kanale Augustowskim, tylko tutaj ruch dużo większy



nie ustaje. Przychodzi większymi i mniejszymi falami, wraz z podmuchami wiatru. Nie działa to dobrze na nasze morale, lecz w końcu zasypiamy. Wstajemy bardzo wcześnie. Trochę rzeczy mamy w wodzie. Nie wiedziałem, że Marka namiot zamiast podłogi ma sito. Mata do spania mokra, śpiwór tylko

radarowy. Zdumienie jest ogromne, bo „nasza” latarnia bardzo się oddaliła i majaczy daleko na horyzoncie. To jest Understen, kolejna latarnia stojąca przed Zatoką Botnicką. Nie ma odwrotu, musimy tam dotrzeć. W pewnym momencie przed nami wynurza się coś z wody. Przecieramy oczy ze zdumienia – to

Udało się! Lądujemy na kamieniach, osłonięci od fal, które są zatrzymywane przez mały, betonowy pirs. Wychodzimy na wyspę i bierzemy ją w posiadanie. Zaczynamy od zwiedzania – domy są w pełni wyposażone, lecz pozamykane i brak jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności. Jedyne lampka mruga,

rejonu Zatoki Botnickiej. Powinno być dobrze. Wchodzimy na najwyższy punkt wyspy i patrzymy na stronę Alandów, niestety, wysp nie widać, dookoła morze i nic więcej. Patrzymy po sobie i nic nie mówimy – w naszych oczach jest strach przed nieodgadnionym żywiołem. Idziemy spać, lecz nie

